

Opis bibliograficzny: Jan Bulhak, *Gawędy o fotografii dawniej, a dziś*, „Fotograf Warszawski”, 1911, nr 2, s. 17-21

Uwagi: tekst nieedytowany

Słowa kluczowe: piktorializm, fotografia jako sztuka, obiektyw

Tekst:

Przetoż nie mówmy o sztuce wyższej i niższej, gdy jest ona jedna, i nie krzywdźmy jej stawianiem wymagań pobłażliwie kompromisowych. Bądźmy surowi i bezlitośnie odrzucajmy od zdrowych ziarn sztuki—kąkole nieszczerości i plewy bezmyślnego naśladownictwa.

By łatwiej dojść to tego, zapomnijmy o tej niebezpiecznej łatwości, z jaką obiektyw i kopjoramka dają nam automatycznie rysunek negatywny i pozytywny. Pozostawmy tę zabawkę dzieciom, a zajęcie to — handlarzom producentom i sprzedawcom „ilustracji”. Stańmy raz na poziomie człowieka dorosłego, który przecież nie wrzuca co chwila dziesiątki do automatu dlatego tylko, by ujrzeć, jak zeń wypadnie spleśniała czekoladka. Zapomnijmy o rzekomym nimbie, pochodzącym z opanowania trudności procederu fotograficznego, uprzytomnijmy sobie, że obecnie już zabawiać się nim umiejętnie trafi — każdy głupiec, co nawet anonse transatlantyckich firm w grzeczniejszej nieco formie potwierdzają. Powiedzmy sobie w końcu, że skoro dzisiaj nawet — panny zaczynają zarzucać swe odwieczne, przedślubne klawicymbalenie i na porcelanie już prawie nie malują, toć chyba i mężczyznom czas najwyższy wyrzec się fotograficznego małpiarstwa.

Wówczasby przy kamerze i obiektywie pozostały trzy jedynie uprawnione kategorie, mianowicie:

dzieci, handlarze i—artyści.

Coby z fotografią robiły pierwsze — to jest rzeczą wyłącznie ich rodziców, co drudzy — to ich kieszeń jedynie obchodzić może.

My się zastanówmy nad tem, co mają robić — artyści i ci, którzy artystami, nie bez pewnych racyi, zostać pragną.

A właściwie — *czego mają unikać*. Co czynić — o tem mówiliśmy. Patrzeć, uczyć się patrzeć i widzieć a resztę pozostawić swemu talentowi. Innej rady dać nie można artyście. Chyba, i to tylko bardzo początkującego — po uczyć, *czego ma się strzedz*.

Otóż zaniechać ma dwóch rzeczy:

1) obiektywów ściśle naukowo skorygowanych.

2) Automatycznego kopjowania pozytywów.

Jeśli pragnę mieć nastrojonym fortepian, idę z tem do stroiciela, organisty, lub znajomego muzyka — nie zaś do profesora fizyki wogóle, a dźwięku i akustyki w szczególności.

Jeśli chcę ustrzelić zająca, nie fatyguję specjalisty od ballistyki ani wizytuję pana Kruppa w Essen, tylko radzę się myśliwego, dojeżdżacza, lub poprostu u Bartka z Borowej Wólki.

Dlaczegóż dotychczas artyści, pragnący zastąpić ołówek i pędzel soczewką i odtwarzać bryłowatość świata otaczającego o *trzech wymiarach*, po środki do tego udawali się do profesorów i uczonych, obcych wszelkiej koncepcyi plastyczno-artystycznej i pracujących nad narzędziami, odtwarzającymi wierniej i ściślej, niż je oko ludzkie widzi, jedynie *płaszczyzny dwuwymiarowe*, jak druki, plamy, rysunki, mapy geograficzne i t. p. przedmioty płaskie. I nawet nie udawali się do uczonych po te narzędzia, gdyż toby pociągnąć mogło pewną kontrolę, porozumienie wzajemne i w rezultacie wytworzenie — obiektywu artystycznego (co we Francyi od lat kilku jest faktem dokonany). Tylko poprostu — beczynn timerzekali na ochłapy optyczne, jakie im z profesorskiego stołu spadną, i chwywali je zgłodniali w braku czegoś lepszego. I żadnych wymagań własnych nie stawiając, skwapliwie a niefortunnie przystosować do swych potrzeb usiłowali to, co przez tamtych w *zupełnie innym celu* wytworzonem zostało.

Czyż nie zabawne to widowisko?

Ślepią po laboratoryach tysiące okularników uczonych, wysilając, się nad wynalezieniem obiektywu najwidniejszego i najostrzejszego. Zapamiętane fotografują całe zadrukowane prześcieradła, pokreskowane drobnusieńko, radzi, że im się w końcu udało „fendre le cheveu à quatre” Wynaleźli narzędzia precyzyjne, funkcjonujące doskonale w *jednej płaszczyźnie*, wyborne do badań tele i mikroskopowych.

Przychodzą handlarze, przezywają obiektywy najdziwaczniej, naznaczają na nie ceny od stu do tysiąca marek czy franków i — ofiarowują je Szanownej P. T. Publiczności, chcącej fotografować *bryły o trzech wymiarach* w rozmaitej odległości i perspektywicznych warunkach, wciąż zmiennych.

A publiczność?

Kłania się, dziękuje, kupuje, płaci, posługuje się jak umie drogimi nabytkami, poci się, morduje, marnuje materiały, czas i pieniądze, i dochodzi — do absurdu.

Czy nie przypomina to owych kostiumowych podarunków,, przywożonych ongi przez europejczyków murzynom, używanych przez ostatnich w sposób najbardziej fantastyczny, od góry do dołu, lub odwrotnie?

Albo tego pocziwego kmiotka, który w brzusznych boleściach otrzymał od doktora pigułki i butelkę ciepłej wody z oliwą do przemycia żołądka; wodę wypił skrupulatnie co do ostatniej kropli, a pigułki — zaaplikował sobie z odwrotnej strony „in flagranti”?

Tylko, że w tym wypadku, europejczykami i lekarzami są handlarze, my zaś kmiotkami i murzynami, niestety!

IV.

Raz nareszcie należy stwierdzić tę pozornie dziwną dla naszych pojęć fotograficznych prawdę, że do celów fotografii artystycznej niema obiektywu *gorszego i mniej odpowiedniego* niż anastygmat, czyli wogóle każdy obiektyw, ściśle naukowo poprawiony.

Jedynym, w ostateczności dopuszczalnym (w braku odpowiednich prostych soczewek za parę rubli), może być anastygmat o ogniskowej 40 — 50 cm., przeznaczany przez fabrykantów do formatu 40×50 cm., kosztujący z jakie pięćset rubli i ważący z dziesięć funtów — ale to tylko do formatu odbitek najwyżej 9×12 cm.

Ale taka teoretyczna możliwość wygląda praktycznie na żart cokolwiek za gruby.

Skądże ten srogi wyrok na anastygmaty?

Przedewszystkiem dla ich ogniskowej, zawsze niedostatecznej.

Im krótsza ogniskowa, tem mniejszy obiektyw, tem mniejszy i lżejszy cały aparat. Więc panoszą się w handlu ogniskowe 12 cm. dla formatu 9×12 cm, i 18 cm. dla 13×18 cm., pomimo, że *niepodobieństwem jest zbudować prawidłowo obraz bez minimalnej ogniskowej o 30 cm, a mieć ją należy prawie zawsze o centymetrach czterdziestu.*

Inaczej bowiem treść pierwszego planu będzie przesadnie powiększona, plany ostatnie zredukowane do minimum, co wytworzy perspektywę liniową zupełnie fałszywą a dla oka wysoce niemiłą. Niektórzy wprowadzając za taką uważają tylko zbyt szeroko rozkraczoną drogę, lub stopy siedzącego większe od głowy, ale dosyć porównać fotografię, zrobioną przeciętnym anastygmatem z bylejakim obrazem pierwszego z brzegu malarza, ażeby się przekonać, iż wszelkie proporcje tych fotografii chorują na nieuleczalny atretyzm, grożący ostatecznie — tabesem.

A że większość tego wcale nie dostrzega, to już jest zasługą zgubnej pseudo-kultury fotograficznej, zaślepiającej wszechobecność fałszywej perspektywy, reklamowaniu i wystawieniu wadliwych fotografii, despotyzmowi „wielkich” firm, trzymających milionowe stadko swych konsumentów w anastygmatycznej niewoli — jest to skutkiem tych wszystkich przyczyn, które się streścić dadzą w tych wyrazach: zła wola jednych, zły przykład innych, brak krytycyzmu i kultury wszystkich.

Powie ktoś na to, że skoro mała ogniskowa prowadzi do tak wadliwych rezultatów, to nikt nie broni używać ogniskowej właściwej.

Zapewne — nie broni nikt, tylko zachodzą następne małe trudności:

1) Taki anastygmat będzie kosztował od 300 do 500 rs.

2) Będzie ważył tyle, co kawalerski samowarek na 6 szklanek herbaty i wymagał kamery formatu conajmniej 14×30 cm.

3) Będzie tak płytki, iż jego pierwotna wielkość f:4 lub f:6 pozostanie tylko fikcyjną. Wypadnie bowiem zapomocą małych przesłon zmniejszać ją do f:15 a nawet f:30.

4) To ostatnie zniszczy wszelką perspektywę powietrzną, to jest sto- [s. 21:] pniowanie wyrazistości planów zależnie od ich oddalenia. Anastygmat bowiem łagodnych

przejsć i miękkiej moderacji mas nie daje — jeśli się zapomocą małej przesłony usunie przykrą watowość rozprysniętych form pierwszego lub ostatniego planu, to zaraz się otrzymuje obraz bezwzględnie i wszędzie ostry, który dzielnie posłużyć może do rachuby statystycznej liści na drzewie lub włosów na głowie, ale po za tem będzie szpetny, zimny, blaszany i bezmyślny w najdoskonalszem, fotograficznem tych wyrazów znaczeniu.

W ten sposób przekonywamy się, że jeśli zechcemy robić właściwy z obiektywów użytek, czyli stosować wyłącznie duże ogniskowe, to wówczas anastygmatów widnych nie będzie wcale, gdyż każdy grubo przesłoniętym być musi i zredukowanym conajmniej do $f:15$ a często i $f:30$. Chyba, że się do takich ogromnych machin, jak kamera 30×40 cm. i obiektyw 10 funtowy będzie używało (prócz tragarza murzyna) kliszformatu 9×12 , wykrawających tylko sam środek z obrazu 30×40 cm. niemożliwego do sfotografowania w formie cokolwiek przyzwoitej.

Pierwszą zatem wadą każdego obiektywu o soczewkach naukowo skorygowanych jest:

bezwzględne fałszowanie perspektywy powietrznej i praktyczna niemożliwość otrzymania poprawnej perspektywy linjowej.

Wadą drugą, niemniej poważną, jest analityczność anastygmatów.

Te obiektywy, stanowiące plagę amatorów, dziwnie przypominają usłużnego lokaja, mającego więcej gorliwości niż rozsądku. Taki fagas czuje się w obowiązku być zawsze w ruchu, zawsze coś robić, gdzieś spieszyć i czy potrzeba, czy nie, biega, lata, powraca, przynosi i odnosi najniepotrzebniejsze rzeczy, wiecznie sterczy u drzwi, usłudze uprzedza każdą myśl swego pana — i w rezultacie, za zbytek gorliwości i dobrych chęci — po miesiącu traci miejsce.

Podobnież, taki znów anastygmatyczny factotum uniwersalny w sensie wyłudzenia pieniędzy u dudków z całego uniwersum — nie ma również ani chwili spokoju, jak tylko go migawka z łańcucha spuści. Zaczyna grasować, jak bicz Boży. Z zaciekłością młodego szczeniaka, wyciągnie na sam środek jakąś zapomnianą skarpetkę czy podarty kalosz, z dokładnością urzędnika celnego lub śledczego: zmarszczki, piegi i nierówności twarzy. Dociera wszędzie, policzy liście na osinie, nie pominie rogu psiej lub innej budki, wstydliwie kryjącej się w krzakach, zrobi spis inwentarzowy wszystkiego z sumiennością kancelisty lub komornika.